

Paweł Piotrowski

Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie

## Psucie nauki dla początkujących, czyli jeszcze jedna wersja prawa Kopernika-Greshama

Znane prawo Kopernika-Greshama opisuje zjawisko wypierania z rynku monetarnego pełnowartościowego pieniądza przez gorszy, niepełnowartościowy, sfalszowany pieniądz. Niniejszy tekst prezentuje próbę odczytania w kontekście tego prawa pewnych zjawisk i tendencji powstałych niejako obok dzisiejszej nauki instytucjonalnej, jak i obserwowalnych w niej samej, a przyczyniających się do swoistego zjawiska inflacji znaczenia działalności naukowej, stopniowego pomniejszania powagi nauki i ograniczania jej kulturotwórczej roli. Artykuł zawiera też, prawdopodobnie mało realne w praktyce, propozycje systemowego przeciwdziałania tym zjawiskom i obrony nauki przed zmasowanym psuciem, przynajmniej w niektórych istotnych aspektach.

**Słowa kluczowe:** pedagogika kultury, inflacja znaczenia nauki, nauka instytucjonalna, prawo Kopernika-Greshama, socjologia wiedzy, szkolnictwo wyższe

### Wstęp

Jest coś nie całkiem stosownego w sytuacji, gdy autor narracji roszczącej sobie ambicje do posiadania waloru naukowości i to w dodatku dotyczącej zagadnienia naukowej wartości czy doniosłości, zamiast skrywać się za tekstem, wychodzi przed ten tekst, by snuć jakieś osobiste wynurzenia. Piszący te słowa z reguły stara się tego nie robić, co czasem nie jest łatwe, nie zawsze z tych samych powodów. Mimo to próbuje pozostać na zasadnie wyznaczonym dla siebie miejscu — za tekstem. Tym razem jednak, na czas części niniejszych rozważań, ich autor wynurzy się z za tekstu, mimo że jest świadom wspomnianej niestosowności takiego zabiegu. Wszelako ten akt niesubordynacji, samowolne opuszczenie posterunku, ma niejako uzasadnienie metodologiczne.

To chyba nawet za dużo powiedziane, że metodologiczne. Chodzi, mianowicie, o to, że autor chciałby objaśnić drogę myśli — używając Heideggerowskiego sformułowania — która przywiodła go do niniejszych rozważań, do ich poszczególnych części, do postawienia w nich, wprost lub *implicite*, określonych pytań i próby udzielenia na nie odpowiedzi, wreszcie do konkluzji, nie nazbyt odkrywczej, że trzeba próbować bronić powagi

nauki — jeśli nawet nie jako szczególnego obszaru ludzkiej działalności, to przynajmniej powagi badań naukowych i przede wszystkim wiedzy naukowej. I jeśli wezwanie do tej obrony nie jest uzasadnione przez swoisty etos (Zaworska-Nikoniuk, 2014; zob. też Sawczuk, 2009), przez społeczne role uczonych, które najprawdopodobniej faktycznie zmieniły się od czasu, kiedy pisał o nich Florian Znaniecki (Znaniecki, 1984, s. 520-602), jeśli nie jest też uzasadnione przez uprzywilejowane stanowisko poznawcze nauki, które istotnie nie wydaje się już pewne i jednoznaczne, po ogłoszeniu prac takich dwudziestowiecznych filozofów nauki, jak Thomas Kuhn, Karl Popper, Carl Hempel, Paul Feyerabend czy Imre Lakatos, jak również po koncepcjach czołowych filozofów poststrukturalistycznych i postmodernistycznych, to chyba wciąż można do takiej obrony nawoływać w imię kultury, w której utwalane jest w skondensowanej, ekonomicznej i hierarchicznej formie, oraz przekazywane kolejnym pokoleniom, doświadczenie wszystkich wcześniejszych generacji gatunku ludzkiego.

To dzięki kulturotwórczym mechanizmom człowiek, jako jedyny gatunek na ziemi, nie musi w ontogenezie każdego pojedynczego, indywidualnego egzemplarza, odtwarzać całej filogenezy swojego gatunku. To dzięki tym mechanizmom jaskinie nie są już naszym jedynym schronieniem przed dzikimi zwierzętami i dzięki nim po Galileuszu pojawił się Newton, a później Einstein. To również dzięki nim, po twórczości Balzaca i Stendhala nadeszła twórczość Flauberta, a po niej Prousta i Joyce'a. Gdyby tych mechanizmów nie było, ludzkość także i w tym, trudnym do nazwania aspekcie, zmuszona byłaby do powtarzania wciąż tej samej lekcji.

Autor od dłuższego już czasu nosił się z zamiarem napisania tego tekstu. Może nie zupełnie właśnie tego, ale poruszającego podobny obszar problematyki. Dokładnie od momentu, gdy do jego rąk trafiła przypadkiem pewna publikacja. Recenzowana publikacja naukowa. Może nie ma konieczności podawania bliższych szczegółów, niczego to do niniejszych rozważań nie wniesie, a nie chodzi przecież o piętnowanie, oskarżanie, wykpiwanie czy preparowanie donosów. Dość będzie zatem powiedzieć, że — mimo iż nie było w tejże publikacji żadnych wzmianek na ten temat — była to niewątpliwie praca magisterska. Nie opracowanie przygotowane na bazie pracy magisterskiej, ale właśnie praca magisterska, z typową dla tego typu prac promocyjnych strukturą, błędami literowymi i gramatycznymi. No i poziomem naukowym właściwym pracom magisterskim. Kiedy parę lat wcześniej, piszący te słowa czytał w książce Stanisława Kozyra-Kowalskiego, że: „Socjologia nowej reformacji w nauce, socjologia zreformowana, wprowadzony przez nią system tajnych, a w niektórych przypadkach, super tajnych recenzentów oraz sieć drobiazgowych wymogów formalnych sprawiły, że studenci jednego instytutu jednej uczelni stali się «autorami blisko 70 artykułów (w większości fragmenty prac magisterskich), recenzji i sprawozdań, licząc tylko te w czołowych ogólnopolskich pismach socjologicznych»” (Kozyra-Kowalski, 2005, s. 59), to wówczas — trzeba się niestety do tego przyznać — uważał, że autor przytoczonego cytatu nieco przesadza w swoim czarnowidztwie i lekceważeniu działalności naukowej „terminatorów nauki”, jak określił takich początkujących autorów poznański socjolog. I, że ostatecznie liczy się jakość pracy, a nie osoba autora czy uzyskane przez nią wcześniej stopnie i tytuły. A później natrafił na pozycję, o której była mowa wyżej. Nie było wyjścia w tym momencie — trzeba było S. Kozyrowi-Kowalskiemu uwierzyć już bez żadnych zastrzeżeń. Wówczas to piszący te słowa po raz pierwszy, jak już wspominał, odczuł potrzebę rozważenia w tekście takim mniej więcej jak niniejszy, problematyki bliskiej tej, poruszonej w zacytowanym przed chwilą fragmencie.

Jednak, równoległe ze wspomnianą potrzebą, pojawił się równie silny opór wewnętrzny przed tego rodzaju przedsięwzięciem. Jego źródłem była i nadal pozostaje świadomość, że działa na niwie nauki w Polsce może tysiąc, a pewnie nawet kilka tysięcy osób bardziej godnych i kompetentniejszych niż piszący te słowa, do tego, by podnosić kwestię niepokojących tendencji we współczesnej nauce, w szczególności w nauce polskiej. Kompetentniejszych i bardziej uprawnionych, chociażby z uwagi na pełnienie kierowniczych funkcji w instytucjach naukowych, co z pewnością daje lepszą perspektywę oglądu niż przyglądanie się z dołu. To przeświadczenie autor ma także w momencie opracowywania niniejszego tekstu. Pech jednak chciał, że jakiś czas temu, znowu przypadkiem, w ręce autora wpadła publikacja naukowa, przeglądaniu której towarzyszył narastający smutek, zakłopotanie, konsternacja i niepokój. A potrzeba rozważenia i zrozumienia zjawiska, które się za tym kryje i jest źródłem tych impresji, powróciła ze zdwojoną siłą. Oczywiście wraz z nią powrócił wzmiankowany wyżej opór. Ale autor pojął wreszcie, że nie uwolni się od nich inaczej, jak tylko szukając swojego rozumienia tej kwestii i wypowiadając je oraz licząc na to, że — *ad vocem* — odpowie ktoś, kto rozumie je lepiej.

### **Młodzi naukowcy na start, czyli: raz, dwa, trzy, naukowcem będziesz ty**

Jak przed chwilą nadmieniał, jakiś czas temu autor miał przypadkiem przykrość przeglądania pewnej publikacji. Jej wnętrze wypełnione było błędami edytorskimi, zza których wyzierały — trudno to inaczej określić — erotematyczne wprawki w piśmarstwie naukowym. Coś jakby zbiór różnorodnych projektów zaliczeniowych studentów różnych dyscyplin nauk społecznych i humanistycznych. Ten przedziwny obiekt sygnowany był logiem „Młodzi Naukowcy”. Autor, nie będąc w swoim subiektywnym odczuciu już młodym i jeszcze naukowcem, zapragnął, z czystej ciekawości, pójść tropem tego hasła. Wprawdzie publikacji tak oznakowanych nie udało się znaleźć w bibliotece i to — jak miało się później okazać — żadnej, jedynie w katalogu Biblioteki Narodowej był ślad, ale zawsze można, przynajmniej na początku, udać się po informacje tam, gdzie tak wielu współczesnych studentów kieruje się po wiedzę, czyli do Internetu. To wystarczyło, żeby ustalić, że właścicielem zarejestrowanej w Poznaniu firmy „Młodzi Naukowcy” jest dr inż. Jędrzej Nyćkowiak, pracownik naukowy Katedry Meteorologii Uniwersytetu Przyrodniczego w stolicy Wielkopolski. „Młodzi Naukowcy” organizują cykliczne konferencje pod hasłem „Badania i rozwój młodych naukowców w Polsce”. I oczywiście wydają publikacje, jako owoce tychże spotkań<sup>1</sup>, dotyczących bardzo różnorodnych dziedzin wiedzy, bowiem: architektury i urbanistyki, nauk przyrodniczych, chemii, medycyny i nauk o zdrowiu, nauk o żywności, wody i ścieków [sic!], polimerów i kompozytów, nauk technicznych i inżynierskich oraz — oczywiście — nauk humanistycznych i społecznych. Redaktorami naukowymi ogromnej większości z nich, niezależnie od dyscypliny naukowej, do której nawiązują, są: prof. ndzw. dr hab. Jacek Leśny i wspomniany już dr inż. Jędrzej Nyćkowiak, obaj z Katedry Meteorologii Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu.

---

<sup>1</sup> Wszystkie wykorzystywane w tekście informacje na temat działalności przedsięwzięcia „Młodzi Naukowcy” pochodzą ze strony internetowej projektu: <http://www.mlodzi naukowcy.com/shop.html> (zaczepnięte 28 kwietnia 2016).

Idea tego, na pierwszy rzut oka dość dziwnego (miałby to być synonim dla „nowatorskiego”?) przedsięwzięcia, wyjaśniona została dość klarownie na stronie internetowej wskazanego projektu, w zakładce „O nas”. Można tam przeczytać, że: „Ogólnokrajowe konferencje dla doktorantów i młodych naukowców dadzą ci to, czego potrzebujesz”. No dobrze, czego zatem potrzebuje doktorant lub młody naukowiec? Odpowiedź znajduje się w tej samej zakładce, a brzmi ona: „Dajemy możliwość zaprezentowania własnych badań, niezależnie od etapu na którym się znajdują. A także, co może być ważniejsze, szybkiej publikacji własnych prac. Rozdziały w wydawanych monografiach są punktowane (recenzowane, mają ISBN; spełniają wszystkie wymogi ministerstwa). Konferencje są również świetną okazją do budowy własnego warsztatu poprzez praktykę i czynny udział w wystąpieniach”<sup>2</sup>. Nie wspomniano co prawda, jakie wymogi i jakiego ministerstwa są spełniane przez odnośne publikacje, niemniej można się domyślać, że: te takie „żeby mi się to liczyło”. Przypominają się telewizyjne reklamy piwa bezalkoholowego sprzed kilkunastu lat, kiedy obowiązywał w Polsce zakaz reklamowania napojów zawierających alkohol — te z mruganiem okiem. We wskazanym miejscu można też znaleźć roboczą — dla potrzeb konferencji — definicję tytułowego młodego naukowca: „Konferencje skierowane są głównie do uczestników studiów trzeciego stopnia (Doktorantów), zarówno posiadających jak i nie posiadających otwartego przewodu doktorskiego. Są również skierowane do młodych naukowców, z tytułem doktora uzyskanym maksymalnie 5 lat temu. Zapraszamy także magistrantów chcących już teraz budować swój dorobek naukowy by kontynuować naukę na studiach doktoranckich (wystąpienia/plakaty/publikacje)”<sup>3</sup>.

Tak jak autor przeczuwał, nie podpada pod tę charakterystykę. Uzyskał co prawda, ale dawniej niż pięć lat temu i w dodatku jedynie stopień doktora. Tytuł doktora to jest jedynie *honoris causa* i oczywiście jest, że piszący te słowa go nie posiada. Gdyby nie te dość jednoznaczne deklaracje o punktach, szybkiej publikacji, wymogach ministerstwa, to może wzmianki o zdobywaniu i wymianie doświadczeń, o budowaniu warsztatu itp., zamieszczone w tekście, którego fragmenty przytaczano, miałyby większą siłę przekonywania. A tak, raczej nie mają. W szczególności w zestawieniu z taką oto uwagą: „Konferencje mają powoływany komitet naukowy gdzie znajdują się nie tylko młodzi doktorzy lecz również samodzielni pracownicy naukowcy — dzięki temu masz pewność, że nasza konferencja jest konferencją naukową”. Jeszcze bardziej, w zestawieniu z następującym komunikatem autopromocyjnym: „Opublikujesz dwa recenzowane artykuły (ISBN, 5 punktów) oraz abstract wystąpienia (ISBN), wygłosisz referat lub/i zaprezentujesz poster!”<sup>4</sup>. O tym, że przedsięwzięcie funkcjonuje na wysokich obrotach i na brak zainteresowania nie narzeka, świadczy informacja zamieszczona w tym samym miejscu, iż zakończył się nabór tekstów do kolejnych „monografii”, ale oczywiście przyjmowane są do nieco późniejszej publikacji.

W zakładce „Konferencja” można, ze wskazanej strony internetowej, pobrać jednostronicowy dokument zatytułowany „III Ogólnokrajowa Konferencja Naukowa Młodzi Naukowcy w Polsce Badania i Rozwój (Wiosna 2016)”, do którego odsyła link „Regulamin”. Trzeba przyznać, że to interesująca lektura. Pierwsza część tego

<sup>2</sup> Źródło cytatu jak wyżej.

<sup>3</sup> Źródło jak wyżej. Zachowano pisownię oryginału, z wyjątkiem słowa „wystąpienia” — w oryginale jest „wystapienia”.

<sup>4</sup> <http://www.mlodzinaukowcy.com/projects.html> (zoczerpnięte 28 kwietnia 2016).

dokumentu nosi tytuł: „Warunki ogólne”. W punkcie 2 zapisano, że: „Przesłanie Formularza Zgłoszeniowego nie jest zobowiązaniem do osobowej obecności na Konferencji”<sup>5</sup>. Aby zrozumieć, co znaczy „osobowa obecność”, należy treść punktu drugiego zestawić z punktem piątym i szóstym regulaminu. Piąty bowiem stwierdza: „W przypadku nieobecności uczestnika na Konferencji wszystkie materiały zostaną wysłane do niego pocztą po wydaniu Monografii”, natomiast szósty: „Przesłanie Formularza Zgłoszeniowego (umowy) stanowi zgłoszenie udziału w Konferencji i jest zobowiązaniem do zapłaty. Koszt to 330 zł (brutto). W opłacie zawiera się uczestnictwo (wygłoszenie referatu lub prezentacja posteru), materiały konferencyjne oraz monografia”<sup>6</sup>. Teraz już jaśniejsze robi się to, co było dotąd niejasne. Wszelako pisanie nazwy „monografia” z wielkiej litery, to przesada, w każdym razie w przypadku tego egzemplarza, który autor miał okazję przeglądać.

Kolejny punkt tej części regulaminu stanowi, że jeśli ktoś chciałby od razu, przy okazji wygłosić sobie drugi referat, to skorzysta z promocyjnej ceny w wysokości 170 złotych polskich. Wszelako cena obejmuje tylko jeden egzemplarz publikacji, jeśli ktoś chciałby mieć ich więcej, może na prezent dla bliskiej osoby, albo dla współautora referatu, to powinien uiścić opłatę w wysokości 46 złotych (cena obejmuje VAT<sup>7</sup>, ale i tak drogo, wiele prawdziwych książek ma niższą cenę). Niezależnie od przebiegu obrad konferencyjnych, każdy uczestnik, także ten, który nie był „obecny osobowo”, ma, jak stanowi punkt jedenasty „prawo (nie obowiązek) publikacji dwóch prac spełniających «Wymogi Redakcyjne» w Monografiach wydawanych przez «Młodzi Naukowcy»”<sup>8</sup>. Jak można się dowiedzieć, otwierając zakładkę „Często zadawane pytania”, treść tych prac nie musi być związana z treścią wygłaszanych (zgłoszonych) referatów.

Ważną częścią omawianego regulaminu jest druga jego sekcja, zatytułowana „Rezygnacja z udziału”. Jest ona ważna, ponieważ dotyczy bezpośrednio portfela uczestnika. Otóż, jak stanowią dwa pierwsze punkty tej części, spóźnialscy, którzy postanowili zrezygnować z uczestnictwa w konferencji i atrakcjach towarzyszących, ale nie przestali odpowiednio wcześniej drogą mailową informacji o tej swojej decyzji, nie mogą liczyć na odzyskanie opłaty. A co, jeśli tej opłaty jeszcze nie wniesli? Nie upieczą im się, ponieważ punkt 16 regulaminu głosi, że nieuiszczenie opłaty nie oznacza dla organizatorów rezygnacji z udziału, zaś w kolejnym punkcie zastrzeżono, co następuje: „Nieuczestniczenie w Konferencji nie jest jednoznaczne z rezygnacją z udziału i nie eliminuje obowiązku uiszczenia opłaty”<sup>9</sup>. Czy te dwa zapisy nie znaczą przypadkiem, że przesłanie zgłoszenia jest jak cyrograf i tylko odpowiednio wcześnie dostarczenie oświadczenia o rezygnacji z udziału w konferencji uchroni niesłownego „młodego naukowca” przed windykacją długu z tytułu nieuiszczonej opłaty konferencyjnej? O tym, że terminowość jest ważna, a niedotrzymywanie terminów może być kosztowne, informuje ostatni punkt regulaminu, który brzmi: „Z uwagi na dobro wspólne wszystkich uczestników Konferencji nieprzestrzeganie

<sup>5</sup> Źródło internetowe jak wyżej, link: Regulamin.

<sup>6</sup> Źródło jak wyżej. Trzeba tę informację powtórzyć w tym miejscu, bo można by zacząć podejrzewać, że autor niniejszych rozważań zmyślił te cytaty dla zwiększenia efektu.

<sup>7</sup> Źródło jak wyżej i powód jego ciągłego przypominania też jak wyżej.

<sup>8</sup> Źródło jak wyżej. Zachowano pisownię i składnię oryginału.

<sup>9</sup> Źródło jak wyżej.

terminów podawanych w Komunikatach Konferencyjnych rozsyłanych do uczestników może skutkować nieprzyjęciem pracy do druku”. Wówczas cała inwestycja „weźmie w łeb”. Pieniądże zapłacone, a punktów (pięciu, a nawet dziesięciu) — nie będzie.

W zakładce „Wydawnictwo” na stronie internetowej przedsięwzięcia „Młodzi Naukowcy” można przeczytać taką oto informację: „Wszystkie prace opublikowane w niniejszej kolekcji zostały zrecenzowane przez wybitnych naukowców, znawców poszczególnych dziedzin”<sup>10</sup>. Pokrzepiające, mimo że niekoniecznie osobiście dla autora niniejszych rozważań, ponieważ nie nadałby się na recenzenta. Trudno. Tym niemniej punkt dwudziesty wspomnianego regulaminu zawiera coś, co nie może nie zdumiewać. Brzmi ów punkt dwudziesty następująco: „Warunkiem opublikowania prac w «Materiałach Konferencyjnych» oraz «Monografiach» jest spełnienie «Wymogów redakcyjnych» i przesłanie pozytywnej recenzji podpisanej przez pracownika naukowego (recenzja dotyczy tylko rozdziałów do monografii, nie streszczenia)”<sup>11</sup>. Cóż, można by tę myśl krócej wyrazić, ale mniejsza o to, bo co innego jest ciekawsze. Zacytowany punkt regulaminu daje zdumiewającą odpowiedź na pytanie: w jaki sposób wydawcy serii „Badania i rozwój młodych naukowców w Polsce” pozyskują do współpracy w charakterze recenzentów, jak zapewniają, wybitnych naukowców? Ano, w ogóle ich nie pozyskują do współpracy. Oni przesyłają tylko mailem formularz recenzji, który ma wypełnić i podpisać znaleziony przez uczestnika „pracownik naukowy”. W świetle tego postanowienia regulaminu piszący te słowa też pewnie „łapałby się” na recenzenta. Ale jakoś wcale go ta okoliczność nie cieszy — wręcz przeciwnie.

Trzynastego maja 2016 roku u dołu strony internetowej „Młodych Naukowców” widniała informacja: „Liczba osób, które to lubią: 2098”. I straszno, i śmieszno. W jednym można by oddać sprawiedliwość twórcom tego przedsięwzięcia. To znaczy: w jednym pozytywnym aspekcie, bo wszystko, co napisano tu powyżej, też nie było niczym innym, jak oddaniem sprawiedliwości. Otóż, wymogi redakcyjne, które określają dla tekstów w wydawanych przez siebie zeszytach, odpowiadają strukturą i układem tym, jakie stawia większość zachodnich czasopism naukowych. I opracowanie tekstu wedle tych wymagań byłoby przydatną lekcją, gdyby nie to, że można ją mieć za darmo — te wytyczne nie są żadną tajemnicą, nie trzeba płacić 330 złotych, żeby się z nimi zapoznać i stosowanie ich przećwiczyć. Tym bardziej że, jak wspomniano, wymogi te odnoszą się do czasopism, a publikacje z serii „Badania i rozwój młodych naukowców w Polsce”, mniejsza o to, czy zasługują na miano monografii naukowej, czy nie<sup>12</sup>, używają numerów ISBN, o czym z dumą wielokrotnie informują wydawcy na stronie internetowej przedsięwzięcia. I w związku z tym pojawia się, niestety, kolejny zgrzyt. Otóż, na stronie drugiej dokumentu dostępnego przy użyciu linku „Wymogi redakcyjne”, widnieje informacja, że przesyłane teksty nie mogą być dłuższe niż 25 tysięcy znaków pisarskich łącznie ze spacjami<sup>13</sup>, gdy tymczasem „wymogi ministerstwa”, które spełniane są, zdaniem redaktorów, przez publikacje ukazujące się w serii

<sup>10</sup> <http://www.mlodzinaukowcy.com/shop.html> (zaczepnięte 28 kwietnia 2016).

<sup>11</sup> <http://www.mlodzinaukowcy.com/projects.html> (zakładka: Regulamin). Zaczepnięte 28 kwietnia 2016. Zachowano oryginalną pisownię, z wyjątkiem słowa „streszczenia” — w oryginale było „steszczenia”).

<sup>12</sup> Zdaniem piszącego te słowa w żadnym razie nie zasługują.

<sup>13</sup> <http://www.mlodzinaukowcy.com/projects.html> (link: Wymogi redakcyjne). Zaczepnięte 28 kwietnia 2016.

„Badania i rozwój młodych naukowców w Polsce”, definiują rozdział w monografii naukowej jako tekst o objętości co najmniej pół arkusza wydawniczego, czyli co najmniej 20 tysięcy znaków pisarskich, łącznie ze spacjami. Są więc przesłanki, aby przypuszczać, że skoro „Wymogi redakcyjne” określają górną granicę objętości tekstu na poziomie 25 tysięcy znaków, to część z publikowanych prac nie przekracza swoją objętością 20 tysięcy znaków pisarskich, a zatem nie są w rozumieniu obowiązujących przepisów rozdziałami w monografii, nie może być im przeto przyznana żadna punktacja MNiSW<sup>14</sup>.

Może nie od rzeczy będzie jeszcze dodać, że niektóre wskazówki umieszczone we wspomnianych wyżej „Wymogach redakcyjnych” są, dla osób co nieco zaznajomionych z problematyką technicznej redakcji publikacji, wyraźną informacją, że ich dołączenie zostało podyktowane chęcią uniknięcia znużających prac nad łamaniem tekstów, cedując to zadanie na nieświadomych tego autorów, zaś dla wydawcy zostawiając proste komputerowe wklejanie. Strategia ta, nawiasem mówiąc, nie przynosi korzystnych wizualnie efektów, o czym piszący te słowa miał okazję się przekonać, wertując jeden egzemplarz publikacji ze wspomnianej serii wydawniczej. Cóż, nie można wymagać od autorów, żeby używali dokładnie takich samych edytorów tekstów, z dokładnie takimi samymi zestawami domyślnych stylów i tych samych systemów operacyjnych w komputerach, ponadto nie używali „zimnych spacji”, pamiętali o zamianie myślników na półpauzy i tak dalej. A to wszystko pokazuje się później w niepołamanej od nowa, jako całość, zawartości publikacji.

Ostatni bastion możliwości wiary w rzetelność i – by tak się wyrazić – autentyczność projektu opisanego powyżej upada, gdy zwróci się uwagę, iż większość z odbywających się w związku z nim spotkań konferencyjnych nie ma żadnego bliżej określonego tematu, a jedynie wskazany obszar dyscyplin, których dotyczy. Piszący te słowa w trakcie swojej niezbyt błyskotliwej i mało doniosłej działalności związanej z nauką uczestniczył parokrotnie w konferencjach naukowych, zdarzyło się, że współuczestniczył w organizacji takiego przedsięwzięcia, ale zawsze tego typu spotkanie naukowe miało określony temat przewodni, dużo bardziej konkretny, niż mgliste i ogólnikowe „nauki humanistyczne i społeczne”, czy jeszcze bardziej ogólnikowe „nauki ścisłe”. Przeważnie też (nie zawsze) obowiązywała jakaś opłata konferencyjna – różnej wysokości, osobiste doświadczenia autora oscylują w przedziale od 100 do 450 złotych – ale nigdy organizatorzy nie zastrzegali sobie prawa do uruchomienia windykacji nieuiszczonej w terminie opłaty. Nigdy też nie sugerowali niczego w rodzaju możliwości zamieszczenia drugiego artykułu w wydanej po konferencji publikacji, ani nie dopuszczali braku rzeczowego związku między tematem wystąpienia konferencyjnego a treścią nadesłanego tekstu. Wydaje się, że nie są to unikatowe, subiektywne impresje jednego człowieka, ale zdecydowana większość uczestniczących od czasu do czasu w konferencjach pracowników nauki ma podobne doświadczenia w tym zakresie. Co, niestety, każe przypuszczać, że spotkania dedykowane prezentacji „rozwoju i badań młodych naukowców w Polsce”, firmowane znakiem „Młodzi Naukowcy”, jednak od standardów w tym zakresie odbiegają. Nie tyle od standardów organizacyjnych, w sensie fenomenalistycznie ujętego przebiegu takich spotkań (sądząc

<sup>14</sup> Na marginesie, dla orientacji, autor pozwoli sobie nadmienić, że tekst niniejszy w bieżącym miejscu przekroczył objętość połowy arkusza wydawniczego, toteż – w kontekście tego kryterium – może być uznany za rozdział w monografii naukowej.

po zamieszczonych na stronie internetowej, niestety niedających się powiększyć, zdjęciach, wygląda to tak jak każda konferencja naukowa, a stół szwedzki uatrakcyjniający przebieg przerwy kawowej – także bowiem znalazł się na zamieszczonym zdjęciu – nawet bardziej imponująco zastawiony, niż to się gdzie indziej spotykało). Ale od standardów odnoszących się do sensu organizowania takich przedsięwzięć. Na drobiazgowo omówionej powyżej stronie internetowej projektu można przeczytać zachętę do udziału, odwołującą się do możliwości spotkania i wymiany doświadczeń z innymi młodymi badaczami, zajmującymi się tą samą problematyką. Wśród młodych badaczy zebranych pod hasłem „nauki humanistyczne i społeczne” szansa na spotkanie osoby, zajmującej się tą samą problematyką badawczą (w narzucającym się znaczeniu tego określenia, czyli tymi samymi, mniej więcej, zagadnieniami, podobnymi tematami), o ile się z kimś takim nie przyjechało, nie jest większa, niż szansa na spotkanie takiej osoby na ulicy albo w pociągu.

## Nauka instytucjonalna jako gra na punkty czyli o traktowaniu nauki (nie)poważnie

Można wysunąć niebezzasadny zarzut, pod adresem piszącego te słowa, iż melodię powyższej narracji wyznacza rytm potrząsania błażeńskim kaduceuszem. To prawda, ale autor na swoją obronę ma to, że cały opisany powyżej fenomen jawi się jako mało poważny, kuriozalny, groteskowy i niezrozumiały zrazu. Gdyby antropolog z Marsa trafił akurat na taki casus, jak wyżej przedstawiony, na początku swoich badań mających na celu ustalenie i zrozumienie, czym na Ziemi jest nauka, musiałby być mocno zakłopotany. Nurtowałoby go pytanie o cel, jaki tego rodzaju działaniom przyświeca. Czy można wierzyć, że celem tym są starania o przyczynienie się do rozwoju nauki i – co za tym idzie – kultury? Odpowiedź na to pytanie jest chyba taka sama, jak odpowiedź na pytanie, czy, na przykład, Noam Chomsky, chcąc opublikować swój tekst, musi znaleźć recenzenta i wpłacić chociażby dolarową równowartość 330 złotych przelewem na konto?

Odpowiedzi na oba te pytania nie są jednak, w kontekście niniejszych rozważań, ani niewinne, ani takie „po prostu”. Odstaniają one bowiem jakiś poważny błąd i to błąd systemowy, który wkradł się czy to do przestrzegania sensu działalności naukowej, czy to do sposobu jej formalnego zorganizowania, a najprawdopodobniej i do jednego, i do drugiego, jako że nie są to kwestie od siebie całkiem niezależne. I obie godzą w istotowy sens nauki jako mechanizmu strukturyzacji dziedzictwa kulturowego (zob. Piotrowski, Górniewicz, 2015, s. 180-198). Nauka i działalność naukowa ma bowiem różne aspekty i różne fenomeny tworzą jej tożsamość. Są one jednak w pewien sposób uporządkowane i uhierarchizowane, to znaczy nauka czymś jest bardziej, czymś jest przede wszystkim, a czym innym w niewielkim stopniu czy niejako przy okazji. Owszem, praca naukowa może być i jest: sposobem na życie, źródłem utrzymania rodziny, środkiem do wzmocnienia poczucia własnej wartości i może też być środkiem do realizacji innych jeszcze ekonomicznych, społecznych i psychologicznych zadań, celów i potrzeb. Ale to wszystko przy okazji, ponieważ nie są to kwestie wynikające z istotowego sensu nauki, który zawarty jest w jej związku z kulturą i z jej kulturotwórczą funkcją (Górniewicz, Piotrowski, 2014), z perspektywy której nauka jest autoteliczną ponadindywidualną, a nawet ponadosobową działalnością poznawczą i tej działalności dynamicznym, procesualnym wytworem (Piotrowski, 2013, s. 30-31). Tym przede wszystkim, a dopiero w dalszej kolejności określają ją i wyrażają inne przejawy oraz funkcje.



Przestawienie tej hierarchii ważności skutkuje, w następnej kolejności, niezrozumiałymi częstokroć rozwiązaniami, dotyczącymi porządku określonych wartości w organizacji procesu tworzenia nauki (zob. Borońska-Piotrowska, 2014, s. 57-77). I owocuje inicjatywami, które rozwojowi nauki nie służą, które w pewien sposób podważają jej powagę i rozmywiają rzeczywisty sens, upostaciowując jak figurę na tle (tak jak ujmuje to koncepcja postrzegania opracowana w ramach psychologii postaci) jako niezrozumiałą grę na punkty. Niezrozumiałą, bo nie wiadomo, czemu właściwie służącą.

Czy można się jednak dziwić odkryciu przez niewątpliwie przedsiębiorcze osoby takiej formy zarobkowania, wykorzystującej fenomen akademickiej gry na punkty, skoro PWN, dawniej poważna instytucja wydawnicza dla nauki, od co najmniej trzech lat regularnie i uparcie zasypuje służbowe skrzynki mailowe osób związanych zawodowo z nauką ofertami odpłatnych szkoleń: a to, jak napisać artykuł naukowy, a to jak go opublikować, a to znowu, jak założyć czasopismo naukowe, oczywiście punktowane, jak chronić prawnie swój utwór naukowy i jak wykorzystywać cudze pomysły, nie naruszając praw autorskich, jak przygotować wniosek habilitacyjny, a przede wszystkim, jak przygotować wniosek o grant badawczy i – to już inne szkolenie – jak go później rozliczyć. No, jest jeszcze prawdziwa perełka, skoro oferta kierowana jest do pracowników nauki, mianowicie jednodniowe szkolenie o tym, jak prowadzić badania naukowe<sup>15</sup>. Autor nie uczestniczył w żadnym szkoleniu oferowanym przez PWN, stąd nie ma pojęcia, dlaczego spotkało go ostatnio wyróżnienie w postaci oferty siedemdziesięciotłotowego upustu, ale był kiedyś, w młodości, na serii szkoleń w zakresie obsługi urzędzeń jeżdżących do prac wysokościowych – każde trwało dwa dni. Nie jest to jakoś szczególnie trudne zajęcie, ale – jak widać – prowadzenie badań naukowych jest jeszcze łatwiejsze, skoro można się tego nauczyć w ciągu kilku godzin, na kursie. Mając takie wyobrażenie o działalności naukowej, trudno doprawdy szanować tych, którzy się nią zawodowo parają. I trudno poważnie traktować ich wysiłki oraz zabiegi.

Niestety, dość wyraźnie widać, że na tę dziwną sytuację, stanowiącą jeden z aspektów stopniowego zaprzeczania autotelicznej sensowności i kulturowej powadze nauki<sup>16</sup>, w istotny sposób wpływa obecnie obowiązująca procedura osiągnięcia pierwszego stopnia naukowego, a ściślej mówiąc, status studiów doktoranckich zdefiniowanych jako studia trzeciego stopnia. Sami doktoranci przyznają, że nie całkiem rozumieją ów status – nauczycielami akademickimi ani naukowcami obiektywnie nie są i przeważnie także subiektywnie się nimi

<sup>15</sup> Autor podejmował już szerzej tę kwestię w innym miejscu (Piotrowski, 2013, s. 22-23). Wypada zauważyć, że od tamtego czasu komercyjna aktywność szkoleniowa wskazanej instytucji, na rzecz pracowników nauki polskiej, jeszcze się zintensyfikowała. Wygląda to tak, jakby wokół zagadnienia, czy też postulatu komercjalizacji działalności naukowo-badawczej i wyższej edukacji, wyrosła cała branża czy gałąź gospodarki, dostarczająca w tym zakresie różnorodnych usług pomocniczych: szkolenia, tłumaczenia, wydawanie publikacji, przygotowywanie baz danych, konsultacje merytoryczne, pomoc w pisaniu prac promocyjnych i tak dalej, aż strach pomyśleć, co jeszcze przyniesie przyszłość.

<sup>16</sup> Inne aspekty, to, między innymi: postulaty urynkwienia i komercjalizacji, mityczne nadzieje pokładane w powiązaniu nauki z gospodarką i w hasło innowacyjności (zob. Piotrowski, 2013, s. 34-37), uproszczona aż do wulgarności popularyzacja osiągnięć naukowych i – co za tym idzie – rozpowszechnionego społecznie wyobrażenia o działalności naukowej (Nalaskowski, 2011), metodologia oceny jakości pracy badawczej i dydaktycznej pracowników nauki, strategie rozdysponowywania środków finansowych na badania naukowe.

nie czują, studentami formalnie są, ale również się nimi nie czują (por. Raczkowska, Pedynkowska, Jaworek, 2014), bo już studia skończyli i posiadają tytuł zawodowy (taki sam, jak niektórzy nauczyciele akademicy) – trudno więc też, aby nauczyciele akademicy traktowali ich jak studentów. Wbrew pewnym, dość szalonym pomysłom podmiotów zarządzających w przeszłości sektorem nauki i szkolnictwa wyższego (sztandarowym przykładem jest tu casus diamentowego grantu<sup>17</sup>), początkujący nie może dorównać doświadczonemu specjalście. I nie ma sensu tego od niego oczekiwać. Przeciwnie, należy dać mu prawo i czas, aby nabrał doświadczenia i rzetelności, rozwinął swoje kompetencje, wypracował warsztat oraz uzupełnił braki. Ktoś mógłby powiedzieć, że temu właśnie służy projekt „Młodzi Naukowcy”, o którym mowa była powyżej. Zwłaszcza że podobne, co do treści, deklaracje widnieją na jego internetowej stronie. Jednakże ten, kto by tak powiedział, albo nie mówiłby tego poważnie, albo uczciwie. Owszem, organizuje się również studenckie konferencje i przygotowuje publikacje prezentujące ich efekty – autor także w czasach studenckich uczestniczył w takich przedsięwzięciach i ocenia je pozytywnie, także z perspektywy dość długiego już czasu. Ale wszystkie zaangażowane w te inicjatywy podmioty miały świadomość, że jest to działalność kształceniowa, że publikowane w tych opracowaniach prace to wprawki mające zmotywować do dalszej aktywności na tym polu, a nie prace naukowe. Jeśli ktoś mówił „młodzi naukowcy”, to była to forma żartu albo sposób na podkreślenie szacunku do tego typu wysiłków, a nie konstatacja faktu. No i nie odbywało się to w kontekście komercyjnym. Jest wszakże wiele takich kwestii, które kiedyś były żartem, a z czasem zaczęły brzmieć groźnie.

Ofiarami opisywanego tu podejścia, podważającego, było nie było, kulturową powagę nauki, są – w wymiarze osobowym – młodzi ludzie, pełni naukowego zapału, którzy mogliby w przyszłości być rzeczywiście naukowcami<sup>18</sup>. W wymiarze ponadosobowym ofiarą jest sama nauka, jako część kultury i jednocześnie kulturotwórczy mechanizm. Ci pierwsi mają z pewnością dobre intencje, które są w pewien nie całkiem rzetelny sposób jednak wykorzystywane. Oni chcą sprostać stawianym im wymaganiom. Częstokroć też zdobyty (wy-

<sup>17</sup> Zob. szersze rozważania na ten temat w: Piotrowski, 2012, s. 87-88. Jakże złe zdanie na temat pracowników nauki musieli mieć pomysłodawcy odnośnego grantu, skoro byli skłonni uważać, iż doświadczonym badaczom mogą w działalności naukowo-badawczej dorównać, a nawet ich w tym przewyższyć, choćby i wybitnie zdolni studenci studiów pierwszego stopnia. W dwa lata od licencjatu do doktoratu. Nawet w czasach kierowniczej roli Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej takie talenty naukowe się nie pojawiały. Jeśli się dobrze przyjrzeć temu zjawisku, to jest ono częścią tendencji opisywanej powyżej, to znaczy wmawiania uczniom, że są nauczycielami, adeptom – że są specjalistami, a autorom wprawek badawczo-pisarskich, że są prace naukowe.

<sup>18</sup> Trójstopniowa struktura studiów wyższych, ze studiami doktoranckimi jako studiami trzeciego stopnia, zdaje się sugerować, że naukowcem jest ten, kto ukończył szkołę dla naukowców, czyli studia trzeciego stopnia – póki nie ukończył tej szkoły, a dopiero do niej uczęszcza, jest młodym naukowcem. Tymczasem naukowcem nie jest ten, kto ukończył szkołę dla naukowców, tak jak artystą nie jest ten, kto ukończył szkołę artystyczną. Jak również nie jest nim po prostu osoba zatrudniona na stanowisku naukowo-dydaktycznym czy naukowo-badawczym w określonej instytucji. Naukowcem jest ten, kto współtworzy naukę. Izaak Newton nie ukończył żadnej „szkoły zawodowej dla naukowców”, a niewątpliwie naukowcem był. Nie tylko zresztą naukowcem, ale i uczonym. Nie ma szkół zawodowych dla poetów, ale może w przyszłości będą. Może w ten sposób uda się rozwiązać dychotomię między dążeniem do komercjalizacji absolutnie wszystkiego i niepokojąco brzmiącym pytaniem Heideggera z jego przemówienia na pogrzebie Rilkego: „cóż po poecie?”.

grany?) zasób punktów, przyznawanych za działalność naukową, przekłada się na różnego rodzaju gratyfikacje i motywatory finansowe. Zrozumiała jest chęć i potrzeba ich zdobycia. Ponieważ zaś w czasopiśmie naukowych oczekiwanie na publikację artykułu znów w ostatnich latach się wydłużyło, ze względu na potrzeby gromadzenia dorobku punktowego — a z tej perspektywy racjonalne jest przedkładanie czasopisma „dziesięciopunktowego” nad „sześciopunktowe” (Borońska-Piotrowska, 2014) — i trwa nieraz nawet ponad dwa lata, nie zawsze doktoranci dysponują możliwością tak długiego oczekiwania, zwłaszcza że rozliczani ze swych osiągnięć są na ogół w trybie rocznym, a i same studia są wyraźnie ograniczone temporalnie. Z kolei na publikację tekstu w przygotowywanych przez różne jednostki monografiach naukowych także trzeba czekać, w dodatku propozycję adeptów nauki są często przez redakcje odrzucane z uwagi na poziom merytoryczno-warsztatowy i niską wartość poznawczą prac dopiero przecież wdrażających się do pisarstwa naukowego autorów. Dla osoby znajdującej się w takiej sytuacji i chcącej spełnić stawiane przed nią wymagania, a także, jeśli jest taka możliwość, uzyskać jakieś finansowe wsparcie, możliwość opublikowania pracy w czymś, co stwarza pozory monografii naukowej, może się wydać dobrym, aczkolwiek dość kosztownym wyjściem. Ponieważ jednak jest parawan w postaci konferencji, to czasem udaje się uzyskać jakieś dofinansowanie z jednostki naukowej, do której składu osobowego „młody naukowiec” przynależy. Dla samych tych jednostek z kolei, w sytuacji gdy znów liczba zgromadzonych w okresie rozliczeniowym punktów przekłada się częstokroć na poziom finansowania badań w kolejnym okresie, także korzystna może się w tej perspektywie okazać, albo przynajmniej wydawać, każda punktowana aktywność pisarska.

Problem polega na tym, że młodzi naukowcy, kreując w opisany sposób imponujący nieraz dorobek, liczony ilością publikacji, niczego się przy tym nie uczą i nie mają okazji polepszenia ani swojego warsztatu badawczego, ani pisarskiego, a jeśli im się jednak udaje rozwinąć naukowo, to raczej wbrew, a nie dzięki zasygnalizowanej tendencji i stwarzanym im ku temu „możliwościom”, w rodzaju opisanej wyżej. Bowiem, koncentrując całą uwagę na „wymogach ministerstwa”, traci się z oczu sens, który mniej lub bardziej udolnie sankcjonują te wymogi. A kiedy się tego sensu nie dostrzega, gdy się o nim zapomina, wówczas, na przykład, kwestia recenzji staje się uciążliwym, wydumanym i sztucznym wymaganiem, któremu należy spróbować, w prosty, nieabsorbujący sposób uczynić zadość — na przykład sugerując młodemu autorowi, żeby sami sobie poszukali recenzenta (któremu też stawia się tylko minimalny wymóg — ma być pracownikiem naukowym) i przestali sporządzać przez niego recenzje. Tak tę kwestię rozwiązują, jak pokazano wyżej, na przykład „Młodzi Naukowcy”. Tymczasem w nauce, w odniesieniu do prac naukowych, mimo że termin jest jeden — recenzja — to ma co najmniej trzy subtelnie różniące się od siebie znaczenia, określające trzy idealne typy, mianowicie:

- recenzja jako krytyczne omówienie treści publikacji, czyli takie opracowanie, jakie spotyka się w czasopiśmie naukowych, w dziale „Recenzje” — w tej supozycji słowo „recenzja” najbliższe jest znaczeniowo identycznie brzmiącemu terminowi, używanemu w innych jeszcze, poza nauką, obszarach kultury, na przykład recenzja filmu, koncertu, powieści czy wystawy. O ile jednak te ostatnie typy recenzji koncentrują się, przede wszystkim, na uargumentowaniu tego, dlaczego jakiś utwór może lub nie może się podobać i dlaczego jest lub nie jest wartościowy w kontekście głównie wartości artystycz-

nych, o tyle, w przypadku takiej recenzji publikacji naukowej, argumenty wiążąc się powinny, przede wszystkim, z odwołaniem do wartości epistemologicznych. Krótko mówiąc, recenzja, rozumiana jako krytyczne omówienie treści pracy naukowej, powinna się koncentrować, przede wszystkim, na prezentacji argumentów odnośnie do tego, dlaczego zawartych w omawianej publikacji twierdzeń nie można uznać za przekonujące, trafne, prawdopodobne bądź prawdziwe, lub dlaczego można je za takie uznać i – ewentualnie – które z nich. Recenzja tego rodzaju jest jedną z przyjętych form prowadzenia naukowej debaty, służy więc przede wszystkim podstawowemu celowi nauki, jakim jest poszukiwanie najtrafniejszych rozwiązań problemów naukowych, poszukiwanie najwartościowszej wiedzy i prawdy;

- recenzja jako ocena poziomu i jakości, tudzież znaczenia (w sensie: doniosłości) danej pracy naukowej – tego typu recenzje najczęściej dotyczą prac naukowych przedstawianych jako podstawa do promocji na tytuł zawodowy, stopień lub tytuł naukowy. Oczywiście, im wyższy zakres kompetencji w określonej dziedzinie sugeruje, reprezentuje czy też odzwierciedla dany tytuł lub stopień, tym dokładniejszy wybór specjalistów do roli recenzentów jest konieczny. Znaczący to, że wraz ze wzrostem stopnia zaawansowania i kompetencji w danej dziedzinie, potrzebni są recenzenci z większym doświadczeniem i uznanymi kwalifikacjami w zakresie coraz dokładniej odpowiadającym problematyce, poruszanej w recenzowanej przez nich pracy naukowej. W przypadku pracy magisterskiej sprawdzi się, bez zastrzeżeń, w roli recenzenta posiadacz stopnia naukowego w dyscyplinie nauki, której dotyczy recenzowana praca, ewentualnie w subdyscyplinie tej nauki, jeśli jest to dziedzina o bardzo rozbudowanej i złożonej wewnętrznej strukturze problemowej. Ale już do efektywnego podjęcia roli recenzenta pracy, będącej podstawą do promocji na pierwszy stopień naukowy, konieczny jest specjalista posiadający wyższy stopień, nadto szczególnie zajmujący się w swojej pracy naukowej tym samym obszarem tematycznym, którego dotyczy rozprawa doktorska. Ta sama zasada dotyczy, rzecz jasna, oceny dorobku naukowego przedstawianego jako podstawa do promocji na drugi stopień naukowy i – w najwyższym natężeniu – na tytuł naukowy. Jak zasygnalizowano, tego typu recenzja służy dostarczeniu podstaw do podjęcia decyzji, czy dana osoba wykazała się kompetencjami i osiągnięciami wymaganymi prawnie i zwyczajowo do uzyskania określonego rodzaju promocji w danej dziedzinie;
- recenzja wydawnicza – ten typ recenzji pełni funkcję informacyjną, skierowaną do trzech rodzajów podmiotów. Po pierwsze, jest to informacja dla wydawcy, który przecież nie musi być ekspertem w każdej dziedzinie, w jakiej wydaje drukiem publikację, że materiał, którego wydanie rozważa bądź planuje, jest materiałem oryginalnym i naukowym (ewentualnie – dydaktycznym we wskazanym obszarze kształcenia), nadto naukowo znaczącym. Przy niektórych uzasadnionych konwencjach znaczeniowych pojęcia naukowy i naukowo znaczący są zresztą synonimami. Ta sama informacja kierowana jest do potencjalnego odbiorcy planowanej publikacji. Mówiąc krótko, publikacja naukowa wymaga naukowej recenzji wydawniczej, czyli stwierdzenia przez odpowiednio kompetentną osobę, że materiał, z którym się zapoznała, ma charakter naukowy (względnie: naukowo znaczący czy naukowo doniosły). Recenzent wydawniczy nie ocenia, czy proponowane w opiniowanej przez niego publikacji rozwiązania

i formułowane twierdzenia są trafne (chyba że są rażąco nietrafne w sposób ewidentny dla każdego specjalisty), ale przede wszystkim, czy sensowne jest i uzasadnione włączenie jej do dyskursu naukowego w danym obszarze badawczym czy na określony temat. W starszych nieco publikacjach znaleźć można, na stronie redakcyjnej, słowo „opiniodawca”, zamiast „recenzent” przed stopniem i ewentualnie tytułem naukowym oraz nazwiskiem osoby, która spełniła powyższe zadanie. Ale recenzja wydawnicza to także informacja dla autora, w zasadzie o takiej samej treści, lecz innym znaczeniu, specyficznym z uwagi na jego rolę w powstawaniu publikacji. Otóż recenzent naukowy nie stwierdza przecież tylko lakonicznie: „imprimatur” bądź „non imprimatur”, i tyle. On swoją opinię także uzasadnia, więc jeśli ma zastrzeżenia, co do zasadności włączenia recenzowanego tekstu do debaty naukowej na określony temat, to wskazuje, na czym one polegają i co jest ich źródłem. A to jest informacja dla autora, sugerująca mu, mniej lub bardziej szczegółowo, co warto zmienić, co powinien poprawić, a nad czym się jeszcze zastanowić, słowem, jak uczynić swoją pracę wartościowszą, bardziej znaczącą w kontekście naukowości.

Poświęcono tu sporo miejsca kwestii recenzji, po to, by podkreślić, że jest ona w nauce ważną instancją. Ważną, aczkolwiek niedocenianą. Ze szczególną starannością powinna być traktowana w nauce kwestia rzetelności i sensowności przebiegu procedur recenzyjnych stosowanych w różnych typach sytuacji. Od nich bowiem w dużej mierze zależy, w dalszej kolejności, sensowność naukowego dyskursu, a od tego z kolei uzależniona jest jakość, a niekiedy nawet sama możliwość spełniania przez naukę zarówno jej wiedzotwórczej, jak i kulturotwórczej roli. Utrzymywanie wadliwości niektórych procedur recenzyjnych, form niweczących czasem możliwość ich rzetelności (zob. Piotrowski, 2012, s. 86) z jednej strony oraz lekceważenie znaczenia recenzowania, traktowanie go jako pustą formalność i próby jej omijania lub symulowania z drugiej strony, otwierają szeroko podwoje dla psucia nauki. Natomiast nacisk kładziony na intensywną działalność pisarską i publikacyjną, oczekiwanie jej już także od przyszłych dopiero badaczy i przyszłych naukowców, jak również od tych, którzy nie zamierzają być naukowcami ani badaczami, przepycha przez te szeroko otwarte podwoje zawartość czy materię, która się do wzmiankowanego psucia walnie przyczynia. Pojawia się bowiem nieprzebrana ilość publikacji i tekstów powstałych bez pomysłu i bez potrzeby, zupełnie niczego do naukowej debaty niewnoszących, nieprzedstawiających rozwiązania naukowego żadnego zagadnienia, chociażby najdrobniejszego, niespełniających nawet słabej zasady racjonalności naukowej, o mocnej (Such, Szcześniak, 1999, s. 40) już nie wspominając<sup>19</sup>, ani Popperowskiego kryterium demarkacji (Grobler, 2006, s. 63). Ale nie to jest najgorsze. Także i nie to, że nie są to opracowania przez kogokolwiek czytane — znaczące naukowo teksty też bywają czasem niemal przez nikogo nieczytane. Najgorsze jest to, iż wiele z tych tekstów powstało właśnie z myślą, by nigdy nie być przez nikogo czytane: nawet przez redaktora publikacji (skoro potrafi sprostować redakcji naukowej opracowania z każdej dziedziny i zadowala się recenzją pióra pracownika naukowego pozyskanego do tego celu przez autora pracy), ani nawet niekiedy przez samego autora i jego prywatnego recenzenta (można zaryzy-

<sup>19</sup> Nawiasem mówiąc, niniejszy tekst także nie spełnia mocnej zasady racjonalności naukowej.

kować takie podejrzenie na podstawie błędów gramatycznych i stylistycznych, które daje się czasem napotkać w publikacjach naukowych w rodzaju wskazywanych tu wcześniej). Nasuwa się prosty wniosek: nikomu nie zależy na niezerowej doniosłości niektórych publikacji „naukowych”. Dlaczego? Bo przyswiewca im wyłącznie zewnętrzny, instrumentalny cel, do którego realizacji nie jest potrzebna treść pracy, twierdzenia, które proponuje jako rozwiązanie wybranego zagadnienia, tylko tytuł, liczba stron, liczba znaków pisarskich, indeksowanie w bazie. To prowadzi do wyalienowania twórcy z jego dzieła (Górniewicz, 2015, s. 26-28), a właściwie świadczy o tym, że alienacja już zaszła. W nauce jako grze na punkty, samej wyalienowanej z kulturotwórczej powagi w świadomości społecznej, ale i w świadomości współtworzących ją jednostek, podmiotowość uczestników ustępuje miejsca fluktuującemu uprzedmiotowieniu. To znaczy, że czasem oni poddawani są reifikacji (Górniewicz, 2015, s. 25-33), kiedy okazuje się, że mało kogo, jeśli kogokolwiek, obchodzi, co dokładnie próbują zbadać, o czym chcą pisać i czy można im jakoś w tym pomóc, zainteresowanie budzi tylko, i to też jedynie na chwilę, przed końcem okresu rozliczeniowego, albo przed obroną doktoratu, ewentualnie w okolicy terminu oceny okresowej, ile miejsca na kartce papieru zajmują wypisane jeden pod drugim tytuły opublikowanych prac. Ale i to zainteresowanie, niczym w ogólnej teorii względności Einsteina, jest względne, nie tylko zależąc od czasu, ale też właśnie ze względu na osobę, której dotyczy i na jej osobiste zainteresowanie czy raczej interes, jaki ma w przedstawieniu jak najdłuższej listy swoich dokonań pisarskich. Paradoksalnie, im większe jest zainteresowanie tym, „kto?” i „ile?”, a mniejsze tym, „co?” i „jak?”, tym bardziej upodmiotowienie ustępuje miejsca reifikacji. Czasem zaś to sami zainteresowani reifikują, nie troszcząc się, nie dbając, ba – nie interesując się nawet przedmiotem swojej pracy.

## **Prawo Kopernika-Greshama a inflacja znaczenia naukowego, czyli o (za)mieszaniu w nauce**

Nie ulega wątpliwości, że cały czas powstaje wiele ważnych i znaczących naukowo publikacji. Także autorstwa doktorantów i początkujących badaczy, adeptów danej dziedziny nauki. Mało tego – prawdopodobnie część prac publikowanych w takich seryjnych czy wręcz taśmowych wydawnictwach, o jakich była tu mowa, to właśnie takie, znaczące naukowo i warte włączenia do naukowego dyskursu opracowania. Cóż z tego jednak, kiedy niemalże niepodobna ich dostrzec, wyłuskać i docenić w natłoku oraz przemieszaniu tego, co cenne, z tym, co bezwartościowe. Stanisław Kozyr-Kowalski już dekadę temu określił to zjawisko wprost jako psucie nauki (Kozyr-Kowalski, 2005, s. 15). A był to przecież czas, kiedy punktowe systemy oceny jakości pracy naukowej dopiero zaczynały się w Polsce pojawiać. Nasuwa się skojarzenie ze znanym z historii ekonomii prawem Kopernika-Greshama<sup>20</sup>. Poza wersją pierwotną tegoż prawa, odnoszącą się dosłownie do psucia czy

<sup>20</sup> Swego rodzaju ciekawostką, lecz ciekawostką na swój sposób wymowną jest, że nazwy „prawo Kopernika-Greshama” lub ewentualnie „Greshama-Kopernika” używa się tylko w Polsce i w polskich publikacjach z zakresu ekonomii i historii. W literaturze zachodniej funkcjonuje już tylko nazwa „prawo Greshama”. Jak podaje Charles P. Kindleberger, oprócz Kopernika, także inny szesnastowieczny uczyony – Brytyjczyk Humphrey Holt – sformułował podobne twierdzenie w swojej pracy, wydanej jednak dwadzieścia lat po pracy Kopernika. Jednakże, jak twierdzi dalej Kindleberger, już w wieku czternastym, około roku 1360, podobne spostrzeżenia

wręcz fałszowania monet na masową skalę, przez uszczuplanie w nich udziału cennych kruszców, a uzupełnianie braku pospolitymi materiałami, tak jednak, żeby na podstawie wyglądu i ciężaru monety nie można było tego łatwo rozpoznać, pojawiły się wersje współczesnione, dotyczące głównie rynków finansowych, ale istnieje także, na przykład, psychologiczna wersja tego prawa (choć autor niniejszych rozważań nie zamierza twierdzić, że wie, o co w nim chodzi). Można bodaj pokusić się o sformułowanie propozycji jeszcze jednej wersji wspomnianego prawa, właśnie w odniesieniu do zjawiska psucia nauki i wywoływania w niej inflacji (inflacji znaczenia).

Prawo Kopernika-Greshama głosi, najogólniej streszczając, że zły pieniądź, ten podrobiony, mniejszej obiektywnie wartości, bo zawierający mniej drogiego kruszcu, wypiera z obiegu pieniądź dobry, czyli taki, jakim on powinien być. Ci, którzy monetę psują, wprowadzają ją do obiegu, często wycofując też z obiegu tę dobrą. Robią to z dwóch zasadniczych powodów – bo potrzebują jej do defektowego pomnażania (wartościowy kruszec z jednej dobrej monety wykorzystują do wytworzenia, na przykład, trzech monet „oszukanych”), albo dlatego, że gromadzą ten pełnowartościowy pieniądź „na czarną godzinę”, wydając w pierwszej kolejności „złe” monety. Zupełnie dosłownie przenosząc tę klasyczną wersję prawa do obszaru współczesnej działalności naukowej, można interpretować ją w następujący sposób: skoro publikacja naukowa zdefiniowana jako rozdział w monografii musi liczyć nie mniej niż 20 tysięcy znaków pisarskich, a za opublikowanie pracy podпадаjącej pod kategorię „rozdział w monografii” otrzymuje się określoną liczbę punktów, które to punkty należy gromadzić i w określonych sytuacjach kontroli okazać, to przecież bardziej opłaca się opublikować dwa teksty po 20 tysięcy znaków każdy, niż jeden o objętości 40 tysięcy znaków, ponieważ uzyska się tym sposobem dwa razy więcej punktów. Zatem, z ekonomicznego punktu widzenia, czy kwestia poruszana w przygotowywanym tekście naukowym wymaga dłuższego opisu, czy krótszego, nie warto konstruować dłuższego, bo to się nie opłaca. Nie trzeba dosadniejszego przykładu sytuacji wyalienowania twórcy od wytworu.

Nietrudna do przeprowadzenia jest też interpretacja ogólniejsza. Mianowicie, w obiegu znajdują się pełnowartościowe monety, ale monety z uszczuploną zawartością cennego kruszcu wprowadzane są do obiegu w tempie szybszym, niż te pełnowartościowe. W pewnym momencie czymś bardzo trudnym staje się natrafienie podczas transakcji na pełnowartościową monetę. Istnieją wprawdzie sposoby, aby jedne monety od drugich odróżnić, ale wymaga to mozolnych poszukiwań, tym trudniejszych, że rynek wciąż zapełnia się „zepsutym” pieniądzem. I chociaż wartość rynku, ujętego całościowo, nie maleje przecież, to przeciętna, średnia wartość jednostki pieniężnej systematycznie słabnie. I niech teraz taka jednostka symbolizuje pojedynczą publikację

---

na temat zjawiska psucia pieniądza poczynił francuski biskup Nicholas Oresme w pracy *O monecie (De Moneta)*. Jak podaje również wskazany autor, Sir Thomas Gresham, osobisty bankier króla Anglii, nawet więcej niż po prostu bankier – doradca finansowy i ktoś w rodzaju ministra finansów, w ogóle nie był odkrywcą prawa, nazwanego jego imieniem przez pomyłkę historyka, Henry’ego D. McLeoda, popełnioną w publikacji z 1857 roku. Kindelberger konkluduje wskazując – i tu chyba można się z nim nie zgadzać, że nazwa „prawo Greshama” przyjęła się i utarła, toteż współcześnie jest już zbyt późno na rozpowszechnienie bardziej zgodnej z faktami historycznymi nazwy (Kindelberger, 1990, s. 43-66).

naukową. Niezależnie od tego, czy jakiś konkretny egzemplarz jest, czy nie jest naukowo znaczący, statystycznie przypada na niego wartość średnia, systematycznie dewaluowana.

Ta literalna interpretacja jest już dosyć wymowna. Wszelako można zaproponować mniej dosłowną, nawiązującą bardziej do współczesnych wersji prawa Kopernika-Greshama, niż do tej najbardziej podstawowej i pierwotnej. Przydatne okazuje się wykorzystanie w tym celu pojęcia inflacji. Otóż, jeden aspekt inflacji to nominalny wzrost cen, a drugi to realny spadek siły nabywczej, a więc wartości pieniądza. Jedną z okoliczności szybkiego i dużego wzrostu wskaźnika inflacji, dobrze znaną w Polsce, bo dotkliwie doświadczoną przez Polaków nieco ponad ćwierć wieku temu, jest szybki napływ do obiegu dużej ilości świeżo dodrukowanych pieniędzy, niemających pokrycia ani uzasadnienia, czy to w dewizach, czy w wierzytelnościach, czy też wreszcie w towarach. Zatem pieniądze w obiegu jest coraz więcej, coraz więcej jest ich też w portfelach obywateli, ale tylko nominalnie, ponieważ coraz mniej towarów można nabyć za te zawartości coraz to grubszych portfeli. Skutkiem tego rynek traci stabilność, w ślad za nim stabilność traci cała gospodarka, bo zewnętrzni kooperanci nie chcą ryzykować kapitału na niestabilnym rynku. W pierwszej chwili zrobiło się więc przyjemnie, bo każdy miał więcej pieniędzy, pamiętając jednocześnie, jak wiele jeszcze niedawno można było za takie kwoty nabyć, ile materialnych marzeń spełnić. Ale wnet zrobiło się bardzo, ale to bardzo nieprzyjemnie. Bo okazało się niestety, że za posiadane wielkie kwoty pieniędzy, nie tylko marzeń już się nie spełni, ale nawet z potrzebami może być krucho. To także sytuacja, którą interpretuje się w nawiązaniu do prawa Kopernika-Greshama, tyle że w wersji bardziej współczesnej.

Rzutując teraz przedstawione okoliczności na sytuację w nauce, gdzie nauka instytucjonalna byłaby odpowiednikiem rynku, zaś publikacje i projekty badawcze reprezentowałyby pieniądze, a rynek towarowo-usługowy — wiedzę, rozwiązane problemy i zagadnienia, wreszcie również trwały wkład w kulturę, można zauważyć, że — analogicznie jak w tamtym opisie — w początkowym okresie tendencja wydaje się korzystna. Można odnieść wrażenie, że nauka pięknie się rozwija, szybko wzrasta liczba publikacji i podejmowanych projektów naukowo-badawczych. Kiedy jednak próbuje się wymienić tę wielką ilość na jakość udzielanych za sprawą tych badań i opracowań propozycji rozwiązań i odpowiedzi, to okazuje się, że nie bardzo jest co zapisać w spadku przyszłym pokoleniom, jako dziedzictwo kulturowe epoki, a nauka instytucjonalna traci stabilność i społeczne zaufanie, a nawet należą jej powagę. A zaczyna się od drobiazgu: ktoś wprowadził do obiegu „zepsutą” monetę, ktoś inny zobaczył, że tak można i, że to się opłaca, więc też tak zrobił, a ktoś jeszcze inny uznał, że skoro funkcjonuje tego rodzaju praktyka, która nie wiąże się z żadnymi negatywnymi konsekwencjami dla realizujących ją jednostek, to i dla niego będzie korzystnie się do tej praktyki przyłączyć, tym bardziej że nie widzi innego sposobu na spłatenie swoich zobowiązań.

Niestety, wydaje się, że analogię do sytuacji opisywanej przez prawo Kopernika-Greshama można dziś odnaleźć nie tylko w przedstawionych wyżej przypadkach, ale również w szeregu innych instytucji, obszarów i sektorów kultury i życia społecznego. Także, niestety, w pewnych tendencjach związanych z kształceniem na poziomie akademickim, gdzie przecież również ilość nie przechodzi samoczynnie w jakość. To znaczy, zgodnie bodaj z twierdzeniami głoszonymi niegdyś przez klasyków marksowskiej filozofii społecznej, czy może lepiej marksowskiej historiozofii, przemiany ilościowe prowadzą w konsekwencji do zmian jakościowych,



wymuszają je niejako. Ale nie ma tu żadnej prostej proporcjonalności — zwiększeniu ilości prawie nigdy nie towarzyszy wzrost jakości, a jednocześnie, jak zasygnalizowano, z reguły występują jednak zmiany współtwarzające między ilością a jakością, przy założeniu *ceteris paribus*.

Zmiana tego niepokojącego stanu rzeczy wymaga, z pewnością, rozwiązań systemowych. Nie tylko odbiurokratyzowania stylu zarządzania oraz uporządkowania nadregulacji obowiązującymi przepisami. Wymaga też, jak się zdaje, zastąpienia uprzedmiotawiających form kontroli i oceny jakości pracy rozwiązaniami, które upodmiotowić zarówno ocenianych, jak i oceniających. Owszem, kontrola jakości realizowanych zadań powinna występować w każdym zawodzie, mimo iż można odnieść nieraz wrażenie, że w niektórych profesjach i na niektórych stanowiskach służbowych jest ona iluzoryczna. Jednakże kontrola taka i ocena nie powinny, więcej nawet — nie mogą skłaniać zaangażowanych w nie stron, do konstruowania misternej wirtualności, rzeczywistości symulowanej, atrapy i fasady. Tak długo, jak kontrola, o jakiej mowa, będzie wiążała się przede wszystkim z obawą przed instytucjonalną karą lub nadzieją na również instytucjonalną nagrodę, procedury oceniania nie będą mogły działać upodmiotawiająco, to znaczy, między innymi, w sposób afirmujący osobistą odpowiedzialność każdego z uczestników, jego zdolność do samostanowienia i podejmowania decyzji, a także indywidualne różnice między poszczególnymi osobowościami, wyrażające się chociażby w osobistych preferencjach, na przykład dotyczących stylu pracy, oraz w potrzebach.

Niekorzystny jest też, jak się wydaje, nadmiar podmiotów sprawujących kontrolę i oceniających jakość pracy tych samych osób. Instancja bezpośredniego przełożonego zdaje się wszak istnieć nie bez powodu. Struktura hierarchiczna powinna odznaczać się przejrzystością, jednorodnością, w przeciwnym razie nieuniknione są rozbieżności kompetencyjne. Oczywiście, przejrzysta i jednorodna struktura hierarchii służbowej także może być terenem występowania różnorodnych nadużyć i patologii. Nie da się chyba zabezpieczyć przed możliwością ich pojawienia się, ale można ograniczyć prawdopodobieństwo ich wystąpienia, dzięki transparentności procedur i redukcji nadmiaru tychże. To, że niektórzy ludzie popełniają przestępstwa, nie uzasadnia jeszcze traktowania wszystkich jak potencjalnych przestępców, bo taka prewencyjna ostrożność i podejrzliwość z jednej strony może i jakoś skuteczna, z drugiej — z pewnością nie służy upodmiotowieniu.

## Zakończenie

Wypracowanie konkretnych rozwiązań z pewnością jest bardzo trudnym wyzwaniem. Bardzo łatwo dochodzi do psucia nauki — jej naprawa jest zadaniem o najwyższym stopniu trudności. Generalnie tak jest, że dużo łatwiej zepsuć, niż naprawić. Obiektywnie, w aspekcie powstałych szkód, nie ma żadnego znaczenia, czy do psucia dochodziło złośliwie, czy w dobrej wierze, czy też wreszcie z jakiejś konieczności. W zakresie bardziej konkretnych rozwiązań systemowych, może warto by było wziąć pod uwagę możliwość normalizacji procedur recenzowania i oceny. Być może przydałoby się jednocześnie w jednostkach realizujących przygotowanie kandydatów do pracy naukowo-badawczej (w szczególności: prowadzących studia doktoranckie) przewidzieć funkcję recenzenta wprawek badawczo-pisarskich początkujących badaczy, który pomógłby im w kształtowaniu i rozwijaniu warsztatu, jednocześnie nie odprawiając z kwitkiem po roku oczekiwania, jak to

mogą uczynić redakcje czasopism czy monografii naukowych, gdyż nie jest przecież ich rolą instruktaż czy dydaktyka w zakresie pisarstwa naukowego. Jednocześnie pomogłoby to zamknąć przynajmniej jedne tylne drzwi, przez które zepsuta moneta dostaje się do obiegu na rynku idei, przyczyniając się do wzrostu inflacji i do dewaluacji również monet z odpowiednią zawartością cennego kruszcu. Wszelako zniechęcanie do pewnych form aktywności na polu naukowym nie ma większego sensu, jeżeli nie zmieni się stawianych wymagań i warunków oraz nie stworzy możliwości do uczestniczenia w życiu naukowym w bardziej wartościowych formach.

Być może wartym przynajmniej rozważenia pomysłem, byłoby wyraźne rozdzielenie w ocenie jakości pracy obszarów działalności: naukowego, organizacyjnego i dydaktycznego, zamiast sztucznego wiązania ze sobą, w niektórych procedurach oceniania i kontroli, rozłącznych zakresów tak, jakby były ściśle zespolone. Bez tego rozdziału doprawdy trudno jest uzasadnić, dlaczego nie włączyć w zakres oceny osiągnięć naukowych także, na przykład, postawy moralnej czy kondycji fizycznej. Wreszcie chyba najbardziej kontrowersyjna z wszystkich przedstawionych wyżej kwestia, którą jednak również może warto przynajmniej rozważyć. Mianowicie, zamiast redukcji liczby istniejących stopni naukowych, być może korzystnym dla rozwoju nauki rozwiązaniem byłoby jej zwiększenie. Rozwój naukowy prowadzący przez uzyskanie czterech, na przykład, a nie dwóch stopni naukowych, mógłby być taką podmiotową formą kontroli zakresu i jakości osiągnięć naukowo-badawczych, bez reifikacji i wyalienowania, ale też bez symulacji i iluzji, za to z poszanowaniem autonomii i odpowiedzialności oraz samodzielności poszczególnych uczestników tego procesu.

Większość przedstawionych propozycji to raczej mrzonki, co jednak nie zmienia faktu, iż naprawdę potrzebne są rozsądne rozwiązania systemowe, które nie krzywdzą nikogo bezpośrednio i personalnie, pozwolą na ograniczenie w nauce instytucjonalnej rozprzestrzeniania się i nasilania zjawiska analogicznego do tego, które opisuje w ekonomii prawo Kopernika-Greshama. Potrzeba systemowych rozwiązań, które pomogą rozsądnie przeciwdziałać dewaluacji kulturotwórczej powagi nauki. Oczywiście żadne rozwiązania systemowe nie zastąpią etosu odziedziczonego po mistrzach, etosu, w który powinno się wraść i którym powinno się „nasiąkać” w społeczności tworzącej naukę. Z drugiej strony etos nie napelni talerza — nie wolno zmuszać ludzi do dramatycznych wyborów, między butami dla dziecka a etosem, ideałem kulturotwórczej społeczności.

## Bibliografia

- Borońska-Piotrowska A. (2014). Pan Hilary i wartości w nauce instytucjonalnej. W: J. Górniewicz, M. Warmiński (red.), *Katedra UNESCO UWM w Olsztynie – w dwudziestolecie funkcjonowania. Zbiór tekstów*. Olsztyn: Katedra UNESCO UWM.
- Górniewicz J. (2015). Cykliczne zagrożenie – reifikacja uniwersytetu. Problem relacji władzy ze środowiskiem akademickim na przełomie XX i XXI wieku. W: J. Górniewicz (red.), *Walidacja a system szkolnictwa wyższego. Stare problemy w nowych aranżacjach słownych i aksjologii*. Olsztyn: Centrum Badań Społecznych UWM.
- Górniewicz J., Piotrowski P. (2014). *Uniwersytet jako źródło wartości kultury. Szkice filozoficzno-humanistyczne*. Warszawa-Olsztyn: Wyd. ElSet.
- Grobler A. (2006). *Metodologia nauk*. Kraków: Wyd. Znak i Aureus.

- Kindelberger Ch.P. (1990). *Economic Laws and Economic History*. Cambridge: Cambridge University Press.
- Kozyr-Kowalski S. (2005). *Uniwersytet a rynek*. Poznań: Wyd. UAM.
- Nalaskowski A. (2011). *Nauka w stylu pop*. Zaczepnięte 4 października 2012. Strona internetowa <http://rp.pl/artykul/606724.html?p=3>
- Piotrowski P., Górniewicz J. (2015). *Pedagogika kultury i postkultury. Idee i przemiany kulturowe*. Olsztyn: Centrum Badań Społecznych UWM.
- Piotrowski P. (2013). Nauka i szkolnictwo wyższe. Pytanie o wzajemny związek. W: J. Górniewicz, P. Piotrowski, M. Warmiński (red.), *Szkolnictwo wyższe. Przekroje współczesnych problemów*. Olsztyn: Centrum Badań Społecznych UWM.
- Piotrowski P. (2012). Wybrane fenomeny wyższej edukacji w pejzażu ponowoczesnym. W: J. Górniewicz (red.), *Między ideałem a codziennością. Wybrane współczesne konteksty szkolnictwa wyższego*. Olsztyn: Centrum Badań Społecznych UWM.
- Raczkowska B., Pedynkowska M., Jaworek M. (2014). Wyścig szczurów? Zarys problemów edukacji doktorantów. W: J. Górniewicz, M. Warmiński (red.), *Katedra UNESCO UWM w Olsztynie – w dwudziestolecie funkcjonowania. Zbiór tekstów*. Olsztyn: Katedra UNESCO UWM.
- Sawczuk W. (2009). *Etos pedagogów/nauczycieli akademickich – między akademickim sacrum a rynkowym profanum*. Toruń: Wyd. Adam Marszałek.
- Strona internetowa <http://www.mlodzi naukowcy.com/>
- Such J., Szcześniak M. (1999). *Filozofia nauki*. Poznań: Wyd. UAM.
- Zaworska-Nikonik D. (2014). Etos naukowca, uniwersytetu i studenta w społeczeństwie późnonowoczesnego konsumeryzmu. W: J. Górniewicz, M. Warmiński (red.), *Katedra UNESCO UWM w Olsztynie – w dwudziestolecie funkcjonowania. Zbiór tekstów*. Olsztyn: Katedra UNESCO UWM.
- Znanięcki F. (1984). Społeczne role uczonych a historyczne cechy wiedzy. W: F. Znanięcki, *Społeczne role uczonych*. Warszawa: Państwowe Wydawnictwo Naukowe.

## Summary

### How to damage of science and humanities for beginners or one more version of Kopernik-Gresham law

The well known Kopernik-Gresham law describes some phenomenon of pushing out from monetary market some balanced coins by coins which are worse, defective or falsified. This paper presents some attempt to read out, in the context of these law, some phenomenon and tendencies grewed beside of institutional sciences and humanities, and also inside this area. There are some tendencies and phenomenon which contribute to specifically inflation of scientific activity's meaning, to diminish of science's seriousness, and to reducing its culture-creating role. The article contains also some proposals, however probably extremely difficult to practical realization, to some system counteraction such particular effects and to defense of sciences and humanities in the face of danger of massy damage in some important aspect.

**Keywords:** pedagogy of culture, higher education, inflation of scientific value, institutional science and humanities, Kopernik-Gresham law, sociology of knowledge